Rozmaitości

Dnia 6. stycznia **Nr 1.** *1838 roku.*

SALWADOR.

POWIEŚĆ.

W poblizkości C. stoi piękny pałacyk, którego ściany osłaniają rozłożyste drzewa przyległego lasu. Krzak różowy rozpostarłszy gęste gałęzie, porozwieszał nade drzwiami swe zielone wieńce. Mieszkanie to wznosi się śród ogrodu, który nie w zwyczajnym założony jest smaku. Wiąz i czeresznia ocieniają jego ulice; wonny orzech, srébrna topola i płacząca wiérzba, obieżone krętym strumykiem, splatają razem swoje liście; bluszcz wije się po ostrężynach, a obok nich krzewią się bujno najpiękniejsze kwiaty, karmazynowy goździk, hiszpański jaźmin, pyszny w swym zawoju tulipan i cała rodzina woniejącego gieranium. Ale w tym tajemniczym gaju nie ujrzysz nikogo, ani usłyszysz gwar jaki; przez cały dzień zamknięte w oknach zazdrostki, i tylko jaskółki wiją pod gankiem gniazda swoje. Jeźli kiedy się zdarzy, że wędrowiec zabłąkawszy się w wielkim źwierzyńcu, stanie przed kracianą, na zardzewiałych wrzeciądzach skrzypliwie otwiérającą się bramą, i puści oko w puste ulice, ujrzy pośród rozżalonych wiérzb, wznoszący się z białego marmuru grobowiec, a na nim stojącą popielnicę. Wtedyto powolnym krokiem przebywa do niego stary, w żałobę odziany ogrodnik, i nie dając się długo prosić, opowiada smutny przypadek dwojga kochanków.

To piękne ustronie z ukwieconym ogrodem i wesołemi gaikami, należało przed kilką laty do jednéj młodéj damy, która większą część lata zwykle w niém przepędzała. Pani Laudon, posiadająca znaczny majątek, została już w dwudziestym roku wdową i nie miała przy sobie nikogo, coby miał prawo wspiérać ją swoją radą i mieć dozór nad jéj postępowaniem. Używając niepodległości, korzystała z wolnego stanu swojego w całém znaczeniu słowa, urządziła swój sposób życia zupełnie podług swego upodobania, swego humoru, swych życzeń i namiętności, a tak nie zwracając na siebie uwagi świata, popełniała błędy, któreby sławę każdéj innéj kobiety zniszczyć mogły. Dla jéj przebiegu, wdzięków, a szczególnie dla jéj niestałości, sława jéj nietkniętą zostawała. Pani Laudon była osobliwszą istotą w swym rodzaju; postępowała sobie z uczuciem miłości, jak na szczęście mało jest kobiét, któreby sobie w ten sposób postępowały; uczucie to nie było dla niéj zabawą, lecz celem, i jedyném zatrudnieniem jéj życia; doznawała ciągle wszelkich uciech, wszelkich rozkoszy, wszelkich bolów i udręczeń miłości, ale namiętność jéj trwała tylko tak długo, aż dopóki którego z mężczyzn rozumu nie pozbawiła. Używała wszelkich sposobów do zwycięztwa: stawała się panią serca, upajała je, dręczyła i rozdarłszy, rzucała od siebie, bez poprzedniego wyrachowania, bez złośliwości, jedynie z jakiegoś wewnętrznego popędu, podobnie jak lis czyni, który drób' zadławia. Serce jéj było tkliwe, niezmiernie tkliwe, w miłość okwicie bogate, nawet do największego poświęcenia się zdolne. Wielu mężczyzn w niéj się kochało; żaden jéj nie opuścił, a co dziwniejsza, wszyscy zostali wiernymi jéj przyjaciołmi. Gdy jéj serce z drażliwych uczuć już się wyczerpało, gdy po wielkich wzruszeniach straszliwa obojętność nastąpiła, gdy już kochanek jéj nie umiał znaleźć sposobu rozniecenia w niéj zagasłych płomieni, gdy jéj przyszło obawiać się jego

straszliwéj zemsty, wtedyto umiała ona użyć wszystkich swoich rzadkich zdolności, które posiadała w najwyższym stopniu. Każdy rozstanek następował zawsze bez jęków i gwałtowności; nie był on zupełném zerwaniem związków, lecz tylko prostém, zwyczajném pożegnaniem. Umiała ona zawsze wynaleźć tak ważne powody, bądź dumy, bądź honoru i t. d., skłaniające ją do przyniesienia téj ofiary, że rozpaczający kochanek, rozstając się z nią, u nóg jéj przysięgał jeszcze, że ją do śmierci kochać będzie, i z tém pocieszającém odchodził przekonaniem, że nigdy inny nie zajmie po nim jego miejsca. Wrażenie, które ta kobiéta po sobie zostawiała, było niezgasłém; mężczyźni, którzy się w niéj raz kochali, nie mogli już kochać żadnéj innéj kobiéty, a nawet o wiele lat poźniéj, stanąwszy przed jéj obliczem, czuli w sobie jakieś głębokie wzruszenie i tęsknotę za upłynioném szczęściem, którego niegdyś w obecności jéj doznawali. Przytém postać jéj była tak skromno-ujmująca, ułożenie tak niewinne, iż nikt po niéj nie poznał, jaką była w istocie; widząc ją, mniemałbyś, że jest oziębłą, świata unikającą, a nawet nieśmiałą kobiétą. Jéj zachowanie się było niewymuszone, miała głos łagodny, a w jéj rozmowie malowała się ujmująca szczérość i prostota. Piękność jéj nie uderzała na piérwszy rzut oka, ale za bliższém jéj poznaniem odkrywałeś w niéj jeden wdzięk po drugim, urok po uroku; a w oczach tych, co ją niegdyś kochali, nie było żadnéj piękniejszéj nad nią kobiéty.

Pani Laudon była już od czterech lat wdową, i zaczęła doznawać owéj nudy, owego przesilenia w swéj duszy, które zwykle jest skutkiem wielkich, szybko po sobie następujących wzruszeń, gdy poznała pewnego mężczyznę, na którego widok nagle uczuła znowu całą rozkosz i wszelkie zachwycające złudzenie piérwszéj miłości. Byłto Hiszpan, nazywał się don Salvador de la Vega. Polityczne zdarzenia na półwyspie, wyrzuciły go ze szczątkami jego majątku na brzegi francuzkie, gdzie przebywał w skromném i pokorzącém go położeniu wygnańca.

Salwador nie był bynajmniéj pięknym, nie miał także odszczególniającego się dowcipu, bystrego rozumu, jednakże jego charakter miał w sobie coś takowego, co dawało domyślać się niezwyczajnéj siły równie w miłości jak i nienawiści. W zachowaniu się jego malowała się i duma i godność i szlachetność i zimna grzeczność Hiszpana z dobrego domu; a jego powściągliwość i namyślność, pokrywały w gładki sposób niedostatek przymilenia się i umysłowego ukształcenia. Postępowanie jego w towarzystwie uderzyło panią Laudon; w téj poważnéj grzeczności, w téj oziębłéj minie upatrzyła ona ognistą duszę i gwałtowne namiętności, które szukały dla siebie przedmiotu, ale znaleźć go nie umiały. Poznała, iż kobiéta, w któréjby się ten mężczyzna zakochał, będzie mu wiarą, bóstwem, nieograniczona władczynią, będzie mu wyrokiem na śmierć lub życie; poznała to wszystko, a przecież nie zlękła się bynajmniéj takiéj miłości, i owszém, wystąpiła w bój z całym wdziękiem i wszelkim podstępem uprzejmości, usiłowała przypodobać się mu całą modą, i w ten kres dążąc w misterny sposób, zaczęła zwolna przybiérać minę rozkochanéj osoby, i była w rzeczy saméj słabą, nieśmiałą i namiętną, podobnie jak w swéj piérwszéj miłości, tak dalece, iż Salwador, podobnie jak wszyscy inni, został oszukanym, pokochał ją i był szczęśliwym.

Początek téj miłości nie zgadzał się bynajmniéj z doświadczeniem, którego pani Laudon w téj mierze nabyła; Salwador kochał ją z takim nadmiarem zapału, z takiém uniesieniem, tak tkliwie i zapamiętale, iż pośród chwil łagodzącego żalu lub grzmiącego wybuchu zazdrości, śród rozkoszy lub pieszczoty, śród każdéj chwili, którą u nóg jéj trawił, ani jéj odetchnąć, ani odpocząć nie było wolno. Panował nad nią równie swojemi przywarami jak i swoją miłością, tak potężnie, że namiętna gwałtowność jego stała się potrzebą dla jéj serca, tak niezbędną i konieczną, iż bez nieustannéj walki, bez burzliwych namiętności, już więcéj żyć nie mogła.

W takim stanie namiętności zostawała pół roku; nadeszło lato. Pani Laudon sprowadziła się do swego wiejskiego ustronia, a Salwador zajął mieszkanie w C. Tym sposobem żyli zupełnie sami dla siebie. Miłość Hiszpana była tego rodzaju, iż w tym jednostajnym sposobie życia długo wytrwać mogła, ale pani Laudon zaczęła doznawać pewnego uprzykrzenia, które zwykle wtedy przychodzi,

skoro miłość z serca znikać zaczyna. Z początku przynosiła chętnie wszystkie ofiary, jakiéj od niéj wymagała aż do zbytku posuniona zazdrość kochanka; uchyliła się od towarzystwa, bez żalu zrzekła się wszystkich przyjaciół i znajomych, zezwoliła na wszystko dla miłości; ale teraz nadeszła chwila, w któréj to, co wprzódy poświęciła, znowu odebrać chciała. Doznawała znudzenia; żądania Salwadora zdawały się jéj być przesadzonémi, uczuła nieznośny ciężar swego jarzma i postanowiła zrzucić je z siebie, za nim Hiszpan się dowié, że w jéj sercu zagnieździły się obojętność i uprzykrzenie.

Jednego wieczora udała się z Salwadorem ku lasowi na przechadzkę; oboje szli pomału, Salwador uszczęśliwiony uczuciem, jakie prawdziwa, namiętna miłość rodzi, pani Laudon milcząca i znudzona. Słońce zsunęło się właśnie za górę, a powietrze było czyste, spokojne. Od północy rozwijały się płaskie, zielone równiny, na których pośród wiosek ocienionych drzewami, wzbijały się wieże kościelne; las podniosłszy gęstém liściem okryte swe wierzchołki, rozpościerał przyjemny chłód po drodze, uwieńczonéj kwiatami.

»Jak uroczo przyjemny dzisiejszy wieczór! Jak miło mi przy twoim boku, kochana Liwio!« rzekł Salwador, objąwszy smukłą kibić pani Laudon swojém ramieniem.

Pani Laudon ścisnęła go słabo za rękę, westchnęła i nic nie rzekła. W chwilę poźniéj ozwała się z niejakiém uniesieniem szczérości:

»Życie ludzkie jakże jest śmieszną rzeczą! Ileżto człowiek do uszczęśliwienia swego niedokłada starań i pracy, a przecież jak trudno mu być szczęśliwym!«

»Jako?« odrzekł zdziwiony Salwador. »Czy sądzisz, że szczęście nasze odtąd nie jest bezpieczne? Czegoż jeszcze sobie życzyć możesz lub czego się obawiać? Czy sądzisz, że ja ciebie kochać przestanę? Miałażby serce twoje dręczyć jaka zazdrość albo wątpliwość? Mów! Zkąd pochodzi twój smutek? Dla czego jesteś nieszczęśliwą?«

Pani Laudon westchnęła jeszcze mocniéj i spuściła w dół głowę, nic nie odpowiedziawszy. Miała wprawdzie zamiar wyznać przed nim swoję znudę i udręczenie, lecz nie chciała wyjawić mu tychże przyczyny. Rzekła tylko te słowa: »Ach, mój Boże, jestem niezmiernie smutną! Mnie udręcza przyszłość nasza.«

»Cóż może cię udręczać?« odrzekł Salwador; »czyliż nie należymy do siebie? Towarzystwo nie rozłącza nas więcéj; już na jego łono nigdy nie wrócimy; obojeśmy przysięgli sobie, że tylko dla siebie żyć będziemy. Jakież szczęście może być z naszém porównane? Ukryci przed okiem całego świata, swobodni w tym raju, i na zawsze jedno przy drugiém, na zawsze jedno dla drugiego! — ach! w tém jedném słowie rozkosz i szczęśliwość całego życia spoczywa! Czujesz ty to, kochanko?«

Pani Laudon, oparłszy się na ramieniu kochanka, myślała sobie, jakimby sposobem pozbyć się można téj długiéj, uprzykrzonéj miłości. Salwador mniemał, iż zrozumiał to jéj głębokie milczenie; wiedział on dobrze, iż rozkochanemu nie raz dla mocnych uczuć serca, na wyrazach zbywa; upojony swém szczęściem, przycisnął panią Laudon do swego serca i rzekł po cichu:

»Tak jest, na zawsze, na całe życie!... O, moje szczęście jest wielkiém! Niech zginie wszystko, com utracił: majątek, ojczyzna i rodzina, ja nie tęsknię za niemi, gdy ty przy mnie zostajesz. Tyś mi wszystko wynagrodziła, ty jesteś wszystkiém dla mnie... Czémże są dobra tego świata w porównaniu z twoją miłością?«

Gdy Salwador wyrzekł te słowa, pani Laudon ocknęła się z swego zadumania, znalazła już sposób pozbycia się téj natarczywéj miłości i natychmiast, stosując się do myśli swego kochanka, rzekła posępnym głosem: »Już dawno cięży na mém sercu straszna obawa!«

»Na twojém sercu, Liwio?« przerwał Salwador z boleśném zadziwieniem, pełném zarzutu; ty masz zmartwienie, a ja o niém nic nie wiém?«

»Tak jest, wielkie zmartwienie...« Salwador zapytał ją żałośnym wzrokiem, ona zaś to mu w odpowiedź dodała: »Wczoraj otrzymałeś listy z Hiszpanii.«

»Mam je przy sobie,« odrzekł uspokojony. »Czyli chcesz je przeczytać?«

»Dla czegoż? Wszak powiedziałeś mi wszystko, co w nich stoi. Ach, jakież smutne doniesienie!«

»Prawda, wszystkie moje dobra są zagrabione, ale cóżeś ty temu winna? Ja nie rozumiém ciebie.«

»Ach, już dawno powinnam była wykonać postanowienie, które było powinnością moją,« odrzekła pani Laudon; »nadaremnie chcesz przede mną taić; przyniosłeś mi zbyt wielką ofiarę, której nie powinnam była przyjmować; jato byłam przeszkodą w twojém życiu... Czas, abyś znowu w świecie zajął posadę, któréj nigdy nie powinieneś był utracić, a którą ja ci odebrałam...«

»Cóż chcesz przez to powiedzieć?« przerwał żywo Salwador; »co mówisz o godności i o majątku? Tyś mnie ich nie odebrała.«

»Nie odebrałam wprawdzie, alem ci w odzyskaniu ich przeszkodziła. Czyliżto nie dla mnie wzbraniałeś się zaślubić z donną Inez, twoją kuzyną? Ty, margrabia de la Vega, wnuk hiszpańskiego magnata, wiedziesz znikome życie na wygnaniu; twoje znamiona godności są zniszczone, majątek zagrabiony, żyjesz w ubóstwie — owe małżeństwo byłoby los twój odmieniło, jak mi sam powiadałeś.«

»Zrzekłem się go,« odparł Salwador; »zrzekłem się go bez wszelkiego wahania; czyliż sama tego nie chciałaś?«

»Oby mi Bóg błąd ten przebaczył, żem już wtedy nie uczyniła tego, co mi powinność nakazywała. Salwadorze, ty musisz Inez de la Vega zaślubić; wielki majorat, piękny majątek, który ona dziedziczy, nie powinny oddalić się od twéj rodziny...«

»Sądzisz więc, że się ciebie wyrzec powinienem?« zawołał Salwador. »Sądzisz, że dla marnego majątku mógłbym stłumić wsobie najdroższe i najtkliwsze uczucie serca? Mój Boże! I jakąžto żonę otrzymałbym z tém bogactwem?... Znaszže ty donnę Inez?... Jestto nędzna istota, która swych ułomności nawet najbogatszym posagiem osłonić nie jest w stanie. Już dwa lata przebywa w Montpellier pod opieką lekarzy usiłujących naprostować jéj wykrzywioną szyję i nierówne ramiona; ona jest brzydką i nieznośną. Nie, nie, dla niej nie chcę być księciem de la Vega.

»Salwadorze, czy i wtenczas byłbyś nie przyjął ręki donny Inez, gdybyś mnie był nie poznał?« zapytała pani Laudon, patrząc mu ostro w oczy.

Hiszpan nie rzekł nigdy nieprawdy; pomyślił chwilę, a potém się odezwał: »Sądzę, że byłbym przyjął.«

»Ambicyja i potrzeba byłyby pokonały twoję odrazę. Ach! gdybyśmy się byli nie znali, byłbyś teraz książęciem de la Vega, bogatym, wielowładnym i nad swoich nieprzyjacioł wzniesionym.«

»Pozostaw mi to szczęście, że to wszystko poświęciłem dla ciebie. Prawda, iż mógłbym był nierównie większy pozyskać majątek, i wyższą osiągnąć godność, niż ta, którą mi odebrano, ale ja przeniosłem twoję miłość nad wszystko.«

Słowo to było bronią, któréj pani Laudon natychmiast bez litości użyła. Okazała niezmierną boleść i uparła się koniecznie zrobić z siebie ofiarę. Hiszpan upojony rozkoszą miłości nie przyjmował jéj na żaden sposób, ale pani Laudon, jak była słabą względem mężczyzny, w którym się kochała, tak była nieugiętą w swém postanowieniu względem kochanka, dla którego już była obojętną. Pod tak pięknym pozorem nie obawiała się już rozpaczy Salwadora, widziała się zabezpieczoną przed jego zemstą i podejrzeniem; i już nic jéj nie wstrzymywało od zerwania z nim związku.

W tém zwrócili się ku domowi. Salwador był smutny, pomieszany, a pani Laudon niezmiernie utrudzona. Usiedli sobie na darni pod topolą, a młoda pani Laudon oparła swoję głowę na ramieniu Hiszpana. Cichy wietrzyk igrał z jedwabnym jéj włosem, ona osłoniwszy się przejrzystym szalem, który spływał po jéj ramionach, spoczywała spokojnie w objęciu Salwadora.

»Jak okrutny chciałaś mi dać dowód swéj miłości!« rzekł nareszcie Salwador, całując ją przez lekką tkankę, która osłaniała jéj oczy. I długo mówił do niéj z cicha, mówił z niewymowną tkliwością i niewypowiedzianą pieszczotą, ale głos jego nie znajdował już echa. Upojony rozkoszą rozwodził się o najżywszém uczuciu; żaden głos, prócz szmeru liści i pomruku strumienia nie obijał się o jego uszy, bo śród tych najsłodszych wynurzeń jego, pani Laudon usnęła.

Po niejakiém milczeniu rzekł nareszcie, przyciskając ją do swego serca: »Nic nie mówisz; o czémže myślisz, kochanko?«

Gdy to wyrzekł, ocknęła się: »O tobie,« odrzekła z głębokiém westchnieniem, »zawsze tylko o tobie.«

»Ależ przecie już nie zechcesz, abym donnę Inez zaślubił? Odstąpisz od twojego zamysłu?«

»Ujrzysz, jaką ofiarę zdołam przynieść dla ciebie.«

»Nie przyjmę jéj,« zawołał upojony miłością Salwador, »zrzekam się majątku, politycznego zawodu, i tego wszystkiego, co nie jest tobą; twoim chce być na wieki, tobie oddaję wszystko, moję przyszłość, moje szczęście i życie!«

Mój Boże! cóż tu począć?... pomyślała sobie pani Laudon; potém powstawszy rzekła: »Bądź zdrów, Salwadorze. Już jest późno; już będzie nie za długo północ, a jutro musisz wstać razem ze słońcem na polowanie.«

»Nie mam do tego wielkiéj ochoty.«

»Dla czegoż?«

»Bo trwać będzie aż do wieczora i zapóźno przyjdę do ciebie.«

»Czy wy aż pod wieczór wrócicie?« zapytała i pomyśliwszy chwilę, dodała: »Tém lepiéj. Od trzech miesięcy, aby na jeden dzień, nie odstępowaliśmy jedno drugiego; odkładałam z jednego tygodnia na drugi wizyty, których z tobą razem w sąsiedztwie oddawać nie mogłam.«

»Wizyty!« przerwał Salwador tonem nieukontentowania. »Ach, Liwio, nie chcesz więc już zostawać ze mną samym?»

»Mam odwidzić siostrę proboszcza,« odrzekła spokojnie; »jestto podeszła, cierpiąca panna, która już od trzech lat nie wychodziła z pokoju, tylko podczas ostatnich Świąt Wielkanocnych kazała się zanieść do kościoła. Mam także oddać wizytę żonie nauczyciela, któréj nie za jednę grzeczność mocno jestem obowiązana. Jestto bardzo źle z mojéj strony, żem dotychczas u niéj nie była.«

»Pójdę więc na polowanie,« odrzekł Hiszpan westchnąwszy. Pani Laudon w znak pożegnania podała mu swą rękę.

»Jutro w wieczór!« odezwał się Salwador. »Ach, jakże będę szczęśliwym, gdy po upłynionym dniu jutrzejszym znowu ciebie zobaczę! Dobranoc ci kochana Liwio!«

Odprowadził ją jeszcze aż do drzwi mieszkania, gdzie się z sobą rozstali.

Pani Laudon wiodła wzrokiem swoim Hiszpana aż do końca ścieżki ogrodowéj, a gdy już jéj z oczu zniknął, rzekła:

»Biédny Salwadorze! życzę ci z duszy, abyś jak najprędzéj się uspokoił! Trzeba to raz skończyć. Związek nasz musi koniecznie być zerwanym. Za miesiąc, za rok, równie jak dzisiaj dręczyłbyś mię swoją miłością; dla tego lepiéj, że się prędzéj roztrzygnie.«

Weszła do pokoju dla wydania rozkazów; ani chwili nie miała do stracenia. »Jutro powracam do Paryża,« rzekła, »i tylko ciebie Julko wezmę z sobą. Pojedziemy obiedwie pocztą.« — »Czy łaskawa pani pojedziesz tym powozem, który zawsze o godzinie siódméj koło naszego ogrodu przejeżdza?« zapytała pokojówka zdziwiona. — »Tak jest; będzie w nim, jak zwykle, miejsce. Zaczekam na na niego przy gościńcu. Zapakuj w kufer bieliznę i sukień na kilka tygodni; może pojedziemy daléj niż do Paryża.«

W nocy napisała pani Laudon długi list do Salwadora, w którym wynurzywszy na trzech stronicach swoje tkliwe żale, uroczyste przysięgi, szczére życzenia i szczytno-smutne pożegnania, dodała im jeszcze wagi częstém nakreśleniem wykrzykników. »Ofiara moja,« tak kończyła list, »powinna być zupełną! Nie biorę z sobą nawet nadziei widzenia wćpana kiedy! skryję się w tak odludném ustroniu, dokąd nawet imię wćpana przecisnąć się nie zdoła! Salwadorze! zaklinam wćpana na kolanach, pomóż mi do wykonania tego strasznego postanowienia! Dla szczęściato i przyszłości wćpana czynię z siebie tę ofiarę! Nie utrudniaj mi wćpan wykonania tego zamysłu i nie przydawaj mi bolu swym oporem, który dla nas obojga może przynieść nieszczęście, a nie zdoła odmienić mojego przedsięwzięcia! Nie pisuj do mnie, ani się dowiaduj nawet, gdzie przebywam i co się ze mną stało! Powiadam, iż dopiéro po kilku latach znowu zobaczyć się możemy! Jedź wćpan! Niech cię wiodą moje gorące życzenia! Jedź natychmiast do Montpellier i staraj się, podobnie mnie, spełnić swoje przeznaczenie! Bądź zdrów, na długo, na długo! jednakże może nie na wieki; bądź zdrów kochany Salwadorze!«

(Ciąg dalszy nastąpi.)

WSPOMNIENIA Z WĘDRÓWKI PRZEZ GÓRY OLBRZYMIE

(Riesengebirge) w roku 1837.

I. ADERSBACH.

Fryderyk Wielki zwykł mawiać: »Kto nie widział skał Adersbachskich, kaplicy w Sedlic, i grobów książęcych w Grüsau, ten nie wié co jest natura, sztuka i przepych.« A John Quincy Adams, poseł pełnomocny Zjedn. Stanów Ameryki północnéj, w listach o Szląsku, o skałach Adersbachskich tak się wyraża: »Adersbach, miejsce, podziwienia godnémi skałami wsławione, które przestrzeń trzech mil zabiérają w tak czarodziejskich kształtach, iż nic podobnego w licznych moich podróżach widzieć mi się nie wydarzyło.« W saméj istocie, w podobnych utworach natura tylko raz w Torkal, w Hiszpanii powtórzyła się. Wędrując przez góry olbrzymie Szląska pruskiego, przejechałem granicę Szląsk od Czech dzielącą, aby to sławne odwidzić miejsce. Byłto piękny poranek miesiąca lipca, gdyśmy schludną, półtoréj mili od Abdersbach odległą wioskę Weckersdorf opuścili. Niebo błękitne, lub czarnémi chmurami osłonione, światło wschodzącego lub zachodzącego słońca, gwiazd lub księżyca, czas ponury lub pogodny, i tysiączne inne odcienia natury, mistyczny wpływ na nasze uczucia, myśli, a nawet zmysły wywiérają. Obraz czarodziejskiéj okolicy nie oko duszy, ale dusza oku podaje, ona go ożywia, wykształca, uszlachetnia. Trzebaby się starać schwycić chwilkę, w któréjby obraz rozwijający się przed oczyma naszemi w prawdziwém i korzystném świetle się okazał. Rozwaliny zamku gotyckiego potrzebują nocy ciemnéj, bladego światła księżyca, burzy, która zżółkłe liście zmiata; willa zaś włoska potrzebuje słońca, błękitu nieba południowego, kwiatów, zefirów, wodotrysków, poezyi natury, sztuki i poezyi serca... Wspaniałe lasy jodłowe ocieniały po obu stronach drogę, która się po nad brzegiem strumyka, jakby wąż wykręcała. Wschodzące słońce przebijało się przez gęste gałęzie, na których rzadko gdzie jaka mała ptaszyna modlitwę poranną świérgotała. W milczeniu jechaliśmy tą czarującą okolicą, gdy niespodzianie na skręcie drogi ujrzeliśmy olbrzymie skały Adersbachskie, jako rozciągłe miasto na pięknéj płaszczyznie rozłożone. Zajechaliśmy do oberży bardzo eleganckiéj: »Kamieni Adersbachskich.« Kilka już powozów stało na obszérnym, obmurowanym dziedzińcu, a w sali zastaliśmy liczne grono podróżnych z poblizkich i odległych okolic, równie jak i my, dla oglądania tych skał przybyłych. Nim nam dano śniadanie, stanąłem w oknie w milczącém zachwyceniu, przypatrując się tym zakamieniałym olbrzymom. Wpatrując się długo w te fantastyczne kształty i figury, jakiéś niezrozumiałe, ciemne uczucie, duszę przeraża; te skały zdają się zostawać pod zaklęciem jakiegoś złego ducha, który je szyderczym i tajemniczym napiętnował wyrazem. Jako dłuto rzeźbiarza ogień i życie z zimnego, martwego wydobywa marmuru, tak i tu dłuto natury olbrzymie wykuło posągi, a duchy gór olbrzymich, na ich czele Rübezahl, tu siedzibę założyli, których przygody, poetyczne sagi, w pamięci mieszkańców się przechownją. Ciemne ulice różnostronnie przerzynają to miasto zaczarowane; nie oko poety, ale oko zwyczajnego dostrzegacza rozezna wyraźnie odznaczone place, posągi, słupy, sklepienia, błędniki, wieże, łuki, mosty, kościoły, zamki téj stolicy Rübezahla, pana gór olbrzymich, a dziś jeszcze zakamieniałe ludzkie postacie groźno i szyderczo na nas spoglądają! Żadna burza ich nie wzruszy, grom o twarde ich czoła się rozbija, a u stóp ich zielony ścielie się trawnik, na którym motylki i Nimfy wodne igrają. Ptak stroni ten las cedrów zakamieniałych, człowiek tylko w zuchwałą zbrojny odwagę, im groźniéj mu się natura objawia, tym groźniéj i śmieléj wdziéra się w najskrytsze jéj tajniki, mocą ducha chce ją zgłębić, zrozumiéć i ujarzmić. Głos gospodarza przywołał mię do sali, gdzie już wszystkich zastałem przy śniadaniu, około stolika siedzących. W przyjemnych rozmowach chwilka po chwilce mijała, a spóźnienie się przewodnika podało mi czas przeleciéć książkę, gdzie podróżni imię i chwilowe uczucia w pamiątkę wpisują. Z niewymowną radością znalazłem tu wpisane imiona kilku drogich mi osób, z któremi w licznych wędrówkach, niestety często na kilka tylko chwilek, się poznałem; znalazłem i twoje imię Ch*, a duszę twą poznałem z ognistych wyrazów, którémi opisałeś te skały. Ah! dla ciebie jest świat zimną skałą, a jego echo jest uśmiechem szyderczym! Przewodnik nadszedł. Idąc miętkim trawnikiem, który rzędami sadzone topole różnostronnie przecinają, stanęliśmy przy piérwszych skałach, tak zwanych *kamienie karłów.* Odcięte od innych skał, stoją te dwa posągi, 20 sążni wysokie, jako stróże miasta zaczarowanego. Kamień przestaje być martwym kolosem dla wędrownika, który z duszą, upojoną poezyjném marzeniem, tu wstępuje! Piosnka gminna opiéwa przygody familii karłów, która niegdyś szczeliny tych skał zamieszkawszy, różne psoty podróżnym i okolicznym mieszkańcom wyrabiała. O kilka kroków daléj prostopadła ściana kamienna, *parawanem* przezwana, zieloną murawę osłania. Tu się przed nieście miasta kamiennego zaczyna Tysiączne obeliski, jakby cedry zakamieniałe, cisną się jeden na drugiego, jedne tak blizko siebie, iż ciężko się przez nie przecisnąć, drugie wolny i széroki zostawiają przechód. Skały w kształtach odmienne, zadziwiające, patrzą z pogardą na ciekawych i zuchwałych Pigmejczyków,

którzy jak muszki u stóp ich brzęczą! Tu usiadłszy trochę dla odpoczynku, jedni z towarzystwa, wyjąwszy ołówek, chcieli na kartcę papiéru choć słabą odcień téj gigantycznéj schwycić natury, drudzy wyrazy zachwytu, które pomimowolnie z ich piersi się wydzierały, słowami uwięzić usiłowali, ci jeologiczne postrzeżenia nad początkiem i formacyją tych skał podawali sobie. Najliczniejsza atoli część towarzystwa, do któréj i ja się przyłączyłem, zebrała się w około przewodnika, przysłuchując się ciekawym opowiadaniom jego o dawnych rycérzach, którzy przeciw prześladowaniom, zdradzie i przemocy, w tych skałach schronienia szukali i znaleźli; o Polaku Niesławie, sławnym rozbójniku za czasów Bolesława III., którego pamięć do dziś dnia utrzymuje się w podaniach ludu, jakoteż i o innych sławnych rozbójników czeskich i szląskich. Idąc daléj zachwycające zjawisko przyrody nas zatrzymało; zjawisko to bezprzecznie do najciekawszych utworów natury policzyć można. Jestto skała, *głową cukru* nazwana, ośmnaście sążni wysoką, u dołu półtora, a u góry pięć sążni w przecięciu mająca, jakby zakamieniały promień wody, wytryska z małego jeziorka, którego ciemną powierzchnię wodne rośliny pokrywają. Jestto kamienna poezyja; zuchwała myśl natury! Obeliski coraz gęstsze, tém w dziwniejszych okazują się kształtach, im bardziej ku właściwemu zbliżamy się miastu. Tu *organy* czekają na uderzenie niewidzialnéj ręki, aby czarodziejskiemi głosami przerwać ciszę tych skał. *Komin* Rübezahla kuchni wysoko wzbija się w powietrze, ale dym z niego nie bucha; zapewne pana w domu nié ma. Ta urna zapewne drogie popioły zamyka. Zwróć oko na prawo, a okropny widok duszę przeraża: rusztowanie, szubienica, głowa ścięta! obok *mumii egipskiéj*, *rękawica* rycerska, czeka na kościstą rękę olbrzyma. Bajka i prawda, przeszłość, odległość, nie w rozwiązłych opisaniach, ale w treściwych odciskach natury, dla duszy tylko poezyją upojonéj zrozumiałych, objawia się nam. Lecz czas nie dozwala pojedynczych skreślać obrazów na téj nieruchoméj wielkiéj wystawie natury, zadziwiających i zachwycających nas. Jeszcześmy do miasta nie weszli. Lecz nim w zaczarowane jego wstąpimy progi, wypada powitać *pana burmistrza*, który z sutą *allonge* peruką, wypukłe ocieniającą czoło, czeka na nas przy wchodzie do powierzonego mu przez Rübezahla miasta. Może on też i nie na nas czeka, bo oko w przeciwną zwrócił stronę, gdzie zakwefiona mniszka o kamienny słup się opiéra. Małe drzwiczki drewniane zamykają wchód do miasta zaczarowanego. Jestto wchód dla karłów, w miasto olbrzymów. Tylko dłuto Dantego, które owe sławne: *Per me si entra* i t. d. wykuło nad bramami piekła, i tu odpowiedni wydołałoby wyryć napis! Zimne powietrze owionęło nas, niebotyczne ściany zasłaniały nam horyzont, a słabe światło dniowe, przebijało się ich szczelinami. To powietrze, ta w półciemność, ta cisza grobowa tylko szmerem krętego strumyka przerwana, gdyż tupot naszych kroków w miękkim gubił się piasku, dziwne uczucia w nas wzbudzały. W milczeniu szliśmy ulicą Jezuicką, a przewodnik robił nas uważnymi na dziwne skał utwory, których nazwy wyliczał. Obok *tablic Mojżeszowych*, stały pogańskie posągi, gruzy zamku rozwalonego, na których szczycie jodła, jakby czarny sztandar, powiewała. Obok *olbrzymiego grzybu* stérczał *ząb* Rübczabla, który sobie wybił o wieżę kościoła Śtéj Elżbiéty, w oddaleniu widzialnego. Przez wielki rynek, po pod most djabelski, weszliśmy na długą ulicę. *S. Jan w puszczy*, misterne dzieło największego mistrza natury, zadziwia i zachwyca wszystkich znawców sztuki. Bryła kamienna, rzucona w pośrodku drogi, zdawała się nam wzbraniać dalszego pochodu. Z wykutego na niéj napisu tylko te słowa wyczytać można było: *J'ai bravé - - - sacrilege.* Podróżujący Anglik, chcąc się przypatrzyć i przysłuchać grzmotom i gromom w całéj strasznéj okazałości, zjechał w tym celu do Adersbach. Długo w oberzy czas przesiedział; niebo ciągle pogodne zdawało się opiérać jego zuchwałym zamysłom. Przyszedł nakoniec dzień pożądany, Anglik nie mogąc znaleźć przewodnika sam udaje się w pośrodek śmiercią grożących skał. Grzmoty się wzmagają, a z niemi i rozkosz odważnego i zuchwałego Anglika, lecz w tém, skały okropném zawyły echem, a piorun wali bryłę skalistą do nóg jego. Anglik wylatuje przestraszony; każe czém prędzéj, pomimo burzy, zaprzęgać konie pocztowe, i zleciwszy podany napis, dla przestrogi równie jemu ciekawo-zuchwałych, na téjże skale wykuć, w dalszą puścił się drogę. Na małym rynku, przeznaczonym dla odpoczynku podróżnych, gdzie srebrne źródło, bujnemi ocienione roślinami, z twardego wytryskuje kamienia, znużeni usiedliśmy na ławkach. W miłych i wesołych rozmowach, straciwszy kilka chwilek i napiwszy się z zimnego źródła, szliśmy daléj, gdzie u kresu naszéj wędrówki najspanialszy zachwycił nas widok. W ciemnéj grocie, do któréj promień słoneczny jakby otwartą tylko wkradał się kopułą, wodospad po tysiącznych łamiący się kamieniach z hukiem i grzmotem pienił się u stóp naszych. Pyłek kropli, jakby rozpryśnięte gwiazdeczki brylantowe, całą grotę wypełniał. Tu był koniec naszéj cztéro-godzinnéj wędrówki. Wyszedłszy tą samą drogą, poprowadził nas przewodnik do glorietki, o kilkaset kroków od skał oddalonéj. Tu jeden z towarzyszów naszych, wziąwszy flet, melodyjne wywabiał z niego tony. Zamilkł, a w kilka sekund, jakby w coraz dalszém oddaleniu, echo tęskne skał trzy razy całą melodyję, jak najdokładniéj i najwyraźniéj powtórzyło. Na kilka wystrzałów skały groźno odpowiedziały, a wesołe tony pocztylionki, gubiąc się w skał błędniku, do dalszéj podróży nas zachęcały. Miłe z sobą biorąc wspomnienie opuściliśmy to miejsce i udaliśmy się w dalszą podróż do Landshutu.

KAROL ANTONIEWICZ.

— Ze Lwowa. —

Wydanego u Piotra Pillera umniczo-opisowego dzieła: *Galicyja w obrazach*, wyszły już trzy zeszyty. O pierwszym wspomnieliśmy w Nr. 21. Rozm. z r. 1837; drugi zawiéra: 1) *Widok zamku w Medyce w cyrkule przemyskim*; 2) *Widok tegoż zamku ze strony ogrodu*; 3) *Widok zamku w Rudnikach w tymże cyrkule*; 4) *Widok zamku w Kołtowie, w cyrkule złoczowskim.* Zeszyt trzeci obejmuje: 1) *Widok wioski Winniki w cyrkule lwowskim*; 2) *Widok Żółkwi, miasta cyrkularnego*; 3) *Widok miasteczka Rymanowa, w cyrkule sanockim*; 4) *Widok wioski Uherce, w tymże cyrkule.* Zeszyt czwarty właśnie ukończony. Widoki rysował i litografował Auer, opisy w polskim i niemieckim języku krótkie ale treściwe, z wyszczególnieniem najciekawszych przedmiotów, tak co do dziejów, jakoteż osobliwości pod względem przyrody, dzieł sztuki, przemysłu i w ogóle wszelkiéj krajowéj cywilizacyi, są gładkim pisane stylem. Winniśmy wdzięczność panu Pillerowi, że nie szczędzi kosztów, tak na podróże artystyczne po kraju, jakoteż na ozdobne wydanie dzieła tego, i życzymy mu, ażeby znalazłszy odpowiednią usiłowaniom swoim zachętę, nie przestawał w tak chwalebném przedsięwzięciu i powoli udarował nas w ten sposób pięknościami całéj Galicyi w obrazach.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego, redakcyi Adama Kasperowskiego, wyszedł Nr. 8. i obejmuje przedmioty następujące: O rolnictwie; dla czego dobra większe lub wieś w dzierżawę puszczone większe mogą czynić dochody, jak pod zarządzeniem właściciela. O chowie zwiérząt

domowych; czyli wełna w jednéj trzodzie gęstą i rzadką być może? O gospodarstwie domowém i fabrykacyjach; opisanie mojego uprzywilejowanego narzędu (aparatu) do zgęszczania syropów w Żurawnikach (dokończenie). Wiadomości czasowe: dla czego wełna spadła i czego się spodziewać na przyszłość? (dokończenie); dochód z krowy; siła koni i ludzi w Anglii; osobliwość myśliwska.

W y d a n i a l i p s k i e. Lipsk, co do wydań dzieł polskich, gra w ostatnich czasach przeważną rolę, pod względem wartości wewnętrznéj daleko przeważniéjszą niźli dawniéj Wrocław. Sprzyjające z wielu miar okoliczności nie mało mu do tego pomagają. Księgarnia i drukarnia tamtejsza Breitkopfa i Härtla uskarbiła sobie wiekopomną sławę w dziejach tegoczesnéj biblijografii polskiéj, a szczególnie p. J. N. Bobrowicz zasłużył na wdzięczność współziomków, że wspomnionych księgarzy potrafił natchnąć myślą wydawania dawnych klasyków polskich, których kosztowna, a przeto nie dla każdego przystępna edycyja Mostowskiego, zupełnie już była wypotrzebowaną, a o przygotowaniu do druku nowéj żaden z krajowych księgarzy nie pomyślił. B i b l i j o t e k a p o l s k a, wydania J. N. Bobrowicza, obejmująca najpierw samych poetów, składa się z trzech oddziałów i mieści kompletne dzieła poezyjne: Krasickiego, Karpińskiego, Naruszewicza, Kochanowskiego, Trembeckiego, Klonowicza, Szymanowskiego, Zimorowicza, Szymonowicza, Gawińskiego, Węgierskiego, Elżbiéty Drużbackiéj i Kniaźnina. Oprócz biblijoteki poetów skłonił p. J. N. Bobrowicz jéj nakładników do wydawania historyków polskich i zaczął od Naruszewicza; za jego natchnieniem wyjdzie także tak dawno pożądana, poprawna i pomnożona edycyja *Herbarza Niesieckiego* i jemu (że inne dzieła staraniem jego wydane pominę) winniśmy wyjście *Meliteli* A. E. Odyńca, noworocznika na r. 1837, wyższego od *Wianka* i od *Biruty* i bezprzecznie najlepszego z polskich. S. J.

K a s y n o P a g a n i n i e g o. Dnia 25. listopada otworzono w Paryżu *Kasyno Paganiniego*, gmach, w którym dla osób znakomitych majątkiem i urodzeniem, dawane będą bale, koncerty, odczyty, kawa i tym podobne. Kasyno to, jestto obszerna budowla, znana pod nazwą: *Hôtel de Padoue*, która od ulicy *Chaussée d'Antin* aż do *Passage cendrier* się rozciąga. Długa aleja z pięknych drzew prowadzi do tego hotelu. Piérwsze piętro obejmować będzie na wzór klubów angielskich pokoje dla towarzystwa, salony literackie, pokoje do gry, salę jadalnią, tudzież pokoje do ubiérania się i toalety. Na dole znajdują się trzy spaniałe, bogato umeblowane i przyozdobione sale, przeznaczone do konwersacyi osób trudniących się umiejętnościami. Z témi łączy się obszérna i gustownie malowana sala, w któréj będą dawane bale, tudzież przepyszna rotunda, mająca drzwi do ogrodu. Rotunda ta przeznaczona jest na koncerty. Orkiestra formuje półkole i w tym sposobie jest urządzona, iż muzyków widzieć mogą wszyscy abonenci, którzy w rotundzie, sali balowéj, albo też w salach przyległych się znajdują. Słuchacze mają ławki półkuliste. U góry rotundy znajdują się loże, do których się wchodzi pobocznemi wschodami, a na tych wschodach bieży w około okrągły taras, pewny rodzaj napowietrznego *foyer* z widokiem do ogrodu. W czasie balu wnoszą się ławki, a lokal ten jest wtedy najpiękniejszym w Paryżu. Tak budownictwo, jak sztuka rzeźbiarska i malarska połączyły się do upiększenia téj rotundy. Podzielona jest na cztery części: Niemcy, Francyja, Hiszpanija, Włochy. Każdy kraj jest przedstawiony postacią pięknéj niewiasty, mającéj na sobie ubior i znamiona właściwe, i każda wieńczy z bronzu popiersie narodowego kompozytora: Mozarta, Bojeldieu, Gomis, Paganiniego. Między tymi znajduje się płaskorzezba, przedstawiająca jednę scenę z celniejszych kompozycyi tych mistrzów: Don Juan. Biała pani. Upior. Taniec czarownic. Pomiędzy popiersiami, umieszczone są obrazy czworakiego rodzaju, malowane przez pp. Waneiken, Gigoux, Müller i Keller, przedstawiające: Walca, menueta, fandango i tarantellę. Kopuła malowana jest także w cztery części *al fresco*. A te przedstawiają: Rondo w około posągu Dyjanny; taniec jeniuszów; wielką uroczystość Bachusa; orkiestrę jeniuszów. Mówią, iż tu ma być przeniosionym tak nazwany *dawny koncert* z Londynu; Paganini da się słyszeć na cudownéj swojej wiolinie; a dyrektor Pugni miał zebrać przedziwną orkiestrę. Paryż przez otworzenie tego gmachu zyskał prawdziwie nową ozdobę swéj stolicy.

N o w a m e t o d a p r z y w r a c a n i a w z r o k u. Do homeopaty doktora Wieseke w Paryżu przyprowadzono chorującego na oczy, któremu nikt już nie mógł poradzić; pacyjent ten patrzał niezmiernie zyzem, a to z téj ważnéj przyczyny, iż jednem okiem widział przedmioty tylko z blizka, a drugiém z daleka. Dr. Wieseke w krótkim czasie usunął tę wadę, a pacyjent na obie oczy został krótkowidzącym, nie długo potém i to nieszczęście zmniejszać się zaczęło, tak dalece, że chory poznaje już teraz na czternaście kroków osoby, których przedtem nawet na dziesięć kroków nie poznawał. Jeżeli się ta metoda pana Wieseke potwierdzi, który za pomocą rodzimej perły miał sprawić to uleczenie, wtedy wiek nasz zostanie zbogaconym jednym z najważniejszych i najdobroczynniejszych wynalazków.

N o w e p o w o z y a n g i e l s k i e n i e w y w r o t n e. Paryzkie ministeryjum spraw wewnętrznych posłało do Londynu ajenta dla przekonania się o wartości nowowynalezionych powozów, które w Anglii robią wielkie wrażenie, dla tego, iż od wywrotu są zabezpieczone. Wysłaniec ten był już obecnym na kilku próbach, i dał o nich bardzo pochwalne zdanie. Powozy te zbudowane są w tym sposobie, iż chociaż jedno koło trąci o kamień lub coś podobnego, a drugie zostanie na równéj drodze, oś jednak zawsze równowagę zachowa. Wiele angielskich powozów zbudowano już podług tego systemu, a rząd francuzki, który pożyteczny ten wynalazek u siebie zaprowadzić zamyśla, zapewnił już panu Stafford wyłączny przywilej z tego powodu.

K a l e n d a r z s y b i r y j s k i. Następujący jest kalendarz roku sybiryjskiego, czyli lapońskiego: Dnia 23. czerwca śnieg taje — dnia 1. lipca znika zupełnie — dnia 9. lipca zielenią się już pola — dnia 17. lipca rosną wszystkie krzewy — dnia 25. lipca okryte są już kwicciem — dnia 2. sierpnia dojrzałe są owoce — dnia 10. sierpnia rośliny wydają już nasienie — dnia 18. sierpnia, zaczyna śnieg polatywać i pada ciągle aż do 23. czerwca roku następującego.

D l a c z e g o k o b i é t y ż y j ą d ł u ż é j n i ż m ę ż c z y z n i. Jeden czasopis francuzki obejmuje w téj mierze artykuł następujący: Pewien lekarz odkrył nareszcie dla czego kobiety zwykle dłużéj, niż mężczyźni żyją; przyczyna jest, że ony więcéj mówią, niż mężczyzni. Najwięksa liczba chorób pochodzi z osłabienia i zmiany płuc. Wielomowność przez ciągły skuteczny ruch i ćwiczenie, wzmacnia ten delikatny organ, na który ludzie posępni i małomowni najczęściej cierpią. Wielomowność jest wyśmienitym środkiem dla zachowania zdrowia i długiego życia. Lekarz ten, utrzymujący że kobiety wiele mówią, sądzi, iż wielomowność ta wzmacnia ich piersi i ztąd się oczywiście do długiego życia przyczynia. Dla tego więc, piękne damy, im więcéj mówić będziecie, tém dłuższe czeka was życie, a pan małżonek, któryby odtąd śmiał swojéj żonie nakazywać milczenie, powinien słusznie za zabójcę być poczytanym.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. *Druk Piotra Pillera, we Lwowie.*